

Ryszard Matuszewski

Miejsce Słonimskiego

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 29, 71-82

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ryszard Matuszewski

MIEJSCE SŁONIMSKIEGO

Trzej czołowi przedstawiciele grupy poetyckiej Skamander – Iwaszkiewicz, Tuwim i Wierzyński obchodziliby w 1994 roku setne urodziny. Czwarty, Antoni Słonimski miał by w roku 1995 sto lat, piąty, Jan Lechoń, był o kilka lat młodszy. Jakie miejsce przypada Antoniemu Słonimskiemu w tej piątce głośnych już w latach dwudziestych naszego wieku poetów? Jakie jest jego miejsce w literaturze polskiej naszego wieku?

Jako poeta budził na pewno mniej spontanicznych zachwyków niż swego czasu Tuwim czy Wierzyński. Mniej też przypadał do gustu wybrednym poetyckim smakoszom niż Iwaszkiewicz. Nigdy wreszcie nie wiązano z nim w latach jego młodości takich nadziei, jakie wiązano z osobą Lechonia po ukazaniu się jego *Karmazynowego poematu*. A jednak bezsprzecznie należał do skamandryckiej „Wielkiej Piątki” i miał w niej mocną pozycję, choć tak samo jak inni Skamandrycy wywoływał też sprzeciwy, bywał atakowany, zwalczany, irytował i drażnił.

Z Lechoniem łączyła go warszawskość; choć terenem sukcesu wszystkich Skamandrytów była Warszawa, tylko oni dwaj w tym mieście się urodzili i wzrastali. Z Lechoniem i Tuwimem łączył go także dowcip, pasje prześmiewcze, umiejętność operowania humorem i satyrą. To ich wyraźnie odróżniało od większości poetów poprzedniej, młodopolskiej generacji. Z Tuwimem wreszcie łączył go fakt pochodzenia ze zasymilowanych rodzin żydowskich.

Poczesne miejsce poetów żydowskiego pochodzenia na polskim Parnasie było wówczas, kiedy startowali, zjawiskiem stosunkowo nowym, choć właśnie począwszy od ich pojawienia się – bynajmniej nie wyjątkowym. Długi stosunkowo proces asymilacji inteligencji żydowskiej w Polsce właśnie wtedy zaczął bujnie owocować. Pierwszym wielkim polskim poetą żydowskiego pochodzenia był Bolesław Leśmian. W dwudziestoleciu międzywojennym – obok Tuwima i Słonimskiego – pojawili się też inni wybitni poeci o podobnym rodowodzie, zajmujący trwałe miejsce w dziejach polskiej literatury, np. Wat, Peiper, Ważyk, Jastrun, Brzechwa czy Lec, a listę tę można by pomnożyć o wiele innych nazwisk.

Okazywali się często – właśnie oni! – szczególnymi mistrzami polskiego języka. Zwłaszcza Leśmian i Tuwim dokonali w tej dziedzinie niebywałych odkryć, jak gdyby świeża wrażliwość i chłonność umysłu pomagała im w uelastycznieniu językowej struktury polszczyzny. Słonimski na ich tle był o wiele bardziej tradycyjny. Jego największym atutem w dziedzinie poetyckiego języka była klasyczna równowaga i harmonia, powściągliwość w eksperymentowaniu. Popularność zaś w nie mniejszym stopniu zawdzięczał pozycji, jaką dawała mu w życiu kulturalnym lat międzywojennych jego funkcja felietonisty w poczytnych „Wiadomościach Literackich” – autora znakomitych *Kronik tygodniowych*, dowcipnych recenzji teatralnych, a także cieszących się dużym powodzeniem szopek politycznych, które pisał z początku z Tuwimem i Lechoniem, potem także z Marianem Hemarem. Dodajmy też, że pisał sztuki teatralne, próbował sił w powieści typu science-fiction (*Torpeda czasu*, 1924, *Dwa końce świata*, 1937). Trzon stanowiła jednak liryka.

Słonimski z dumą odnosił się do swych tradycji rodzinnych. Lubił chwalić się pradziadkiem – wynalazcą, Abrahamem Sternem, zaproszonym przez Stanisława Staszica do Królewskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Dumny był także ze swego ojca, znanego warszawskiego lekarza, który był przyjacielem Bolesława Prusa, prototypem doktora Szumana w *Lalce*, odznaczał się celnym dowcipem. Cechę tę syn po nim odziedziczył. Dr Stanisław Słonimski był sympatykiem podziemnej PPS, a w jego mieszkaniu, w którym wzrastał przyszły poeta, zbierali się socjalistyczni konspiratorzy. Syna wychowywał dr Słonimski – jak nam przekazuje poeta w swym pod koniec życia pisanym, żartobliwym *Alfabecie wspomnień* (1975) – w sposób niekonwencjonalny. Przede wszystkim kształcił w nim poczucie humoru i wyobraźnię, zasadą była też tolerancja dla przejawów jego młodzieńczej indywidualności. Kiedy jako uczeń V klasy warszawskiego gimnazjum Kreczmara przyszły autor *Kronik tygodniowych* bezlitośnie wykpił jednego z nauczycieli w pisemku szkolnym, poradzono ojcu by go przeniósł do innej szkoły („Mówiąc po prostu, zostałem wylany” – skomentuje po latach ów fakt poeta). Ojciec orzekł wtedy, że sam przygotowuje syna do matury, a na pocięgę kupił chłopcu rower.

Studia rozpoczął Słonimski w warszawskiej szkole sztuk pięknych, ale niebawem zamienił pędzel na pióro. W latach 1913–1919 współpracował z tygodnikiem satyrycznym „Sowizdrzał”, gdzie zamieszczał wiersze, rysunki, humoreski oraz recenzje teatralne i plastyczne. W latach 1917–1919 spotkał się z Tuwimem i Lechoniem, współpracując z pismem studentów Uniwersytetu Warszawskiego „Pro Arte Et Studio” (później „Pro Arte”). W r. 1918 był inicjatorem poetyckich występów przyszłej grupy Skamander w warszawskiej kawiarni „Pod Pikadorem”. Echa wspomnień o tym debiucie grupy odezwą się po latach w utworach Skamandrytów: w *Kwiatach polskich* Tuwima, w poemacie Słonimskiego *Popiół i wiatr* (1942).

Gdy mowa o pierwszych wystąpieniach i pierwszych publikacjach grupy, warto podkreślić, że humor i satyra nie były dla Skamandrytów tylko profesjonalnie uprawianym gatunkiem literackim, lecz także czymś w rodzaju sposobu bycia. Byli ludźmi zabawy, prześcigali się wzajemnie w robieniu sobie kawałów, tryskali dowcipem, jedni z pierwszych w Polsce operowali humorem typu *pure nonsense*. Niektóre z ich dowcipów utrwalone zostały w różnych doraźnych publikacjach książkowych lub, później, na łamach „Wiadomości Literackich”, których specjalne, np. prima aprilisowe numery w niemałym stopniu przyczyniły się do powiększenia nakładu pisma. Po latach przypomnienie tych ubocznych, ale charakterystycznych, gdy chce się skreślić pełny wizerunek artysty, rodzajów twórczości Słonimskiego, przyniesie ich autorski wybór w publikacji *Jedna strona medalu* (1971). Zaznaczyć bowiem trzeba, że tym człowiekiem zabawy Słonimski nie przestał być także i wtedy, gdy w polskim życiu literackim odgrywał znacznie poważniejszą rolę i kiedy ta druga, poważna strona medalu, skłaniała wielu piszących o nim do zapomnienia o tej pierwszej, mniej poważnej.

Utrwalenie obrazu Antoniego Słonimskiego jako żywej i barwnej postaci, to wręcz obowiązek kulturalny pokolenia, które go znało i pamięta. Tak, jak za legendarnym Francem Fiszerem, ciągnie się również za Słonimskim wspomnienie jego licznych anegdot, powiedzeń, ripost, obraz człowieka nie mniej żywy niż wizerunek pisarza.

Sięgam tylko do zapisów zaprzyjaźnionej ze Słonimskim przez długie lata mojej żony, Ireny Szymańskiej. Lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte, kiedy prezesurę ZLP objął po Słonimskim Jarosław Iwaszkiewicz – to okres wyraźnego ochłodzenia ich wzajemnych stosunków. Z tym, że inicjatorem owego chłodnego dystansu, niezwykle upartym w jego utrzymywaniu ze względów zasadniczych był Słonimski, podczas gdy Iwaszkiewicz wykonywał wciąż gesty pojednawcze.

„W listopadzie 1965 r. – notuje Irena Szymańska – urządzono Antoniemu 70-lecie urodzin. Jarosław przysiadł się do zatłoczonego stolika w kawiarni Związku, gdzie przed imprezą piliśmy kawę w gronie przyjaciół. Miał nadzieję, że Antoni, przyszedłszy, przysiadzie się do nas i wtedy i z nim się przywita. Mówił z pewnym niepokojem, żalem i czułością; że Antoni jest pieniacz, zawsze się o wszystko kłóci. Ale – dodał nie bez smutku – przeważnie ma rację. (Antoni w tym czasie w znanej strofie z *Popiołu i wiatru* przesunął przecinek: w miejsce tekstu brzmiącego

Julku miły i Leszku, drogi Jarosławie –

wszedł nowy wariant

Julku miły i Leszku drogi, Jarosławie –

Przez czas dłuższy bawił się tą małą złośliwością, ale potem się z niej wycofał.)”

Wspominając rolę, jaką w życiu Słonimskiego odgrywała kawiarnia, Irena Szymańska pisze:

„Godziny między 11.30 a pierwszą spędzał przez całe życie przy stoliku kawiarnianym. W okresie, w którym go znałam, były to – [...] kawiarnia Marca, ”Nowy Świat”, kawiarnia PIW-u, potem „Ujazdowska” [...]. Antoni odwiedzał nas też w „Czytelniku”. Najpierw raz w tygodniu, potem

dwa, w końcu trzy lub cztery razy – coraz częściej. Wchodził młodzieńczym krokiem tenisisty (bardzo był ze swoich tenisowych umiejętności dumny), typowym dla siebie gestem odsuwał na czoło okulary i sięgał do górnej kieszeni marynarki, skąd wyciągał zwykle jakieś ciekawostki: ciekawsze listy do siebie, wycinki prasowe, notatki. Potem następowała wymiana poglądów na ważniejsze zagadnienia aktualne (poglądy były przeważnie dość zgodne), trochę opiniotwórczych plotek. Wszystkie tematy były dozwolone – nie wolno było tylko opowiadać treści snów i filmów. Wreszcie następowała część rozrywkowa. Antoni i Gucio Holoubek, obaj obdarzeni znakomitą pamięcią i niezawodnym zmysłem reżyserskim, opowiadali na przemian stare i nowe anegdoty, często „cyklami” (na przykład cykl Holoubka o lordzie Pembroke lub Antoniego o aktorze Władysławie Grabowskim). Obaj byli świetnymi imitatorami. To przecież Antoni lubił wspominać, jak przed wojną skłócił Zelwerowicza z krytykiem Emilem Breiterem, naśladując przez telefon ich głosy i bodaj nigdy nie udało się im później wyjaśnić, że był to tylko żart. Kiedyś Adam Ważyk wszedł do kawiarni właśnie w momencie, kiedy obaj poważni panowie, aktor i poeta, zabawiali się w naśladowanie Adama Ważyka. Obaj „mówili Ważykiem” z wielkim przejęciem. Nowo przybyły usiadł oczywiście spokojnie, ze zwykłym sobie roztargnieniem nic nie zauważając. Scenka trwała jeszcze dłuższą chwilę i wreszcie wybuchnęliśmy gromkim śmiechem [...]. Kiedy Antoni jako prezes ZLP jechał w końcu lat pięćdziesiątych do Moskwy, odprowadzaliśmy go sporą gromadką na dworzec. Antoni stanął w oknie i głosem Gomułki zaczął wygłaszać przemówienie utrzymane zresztą w gomułkowej poetyce. Publiczność na dworcu zamarła. Poczym rozległ się potężny wybuch śmiechu.”

Słonimski lubił przysyłać przyjaciołom żartobliwe kartki. Moja żona przypomina jedną z nich:

„W roku 1961 z Krynicy [...] przysłał mi własne zdjęcie w pocztówkowym formacie, gdzie w góralskim kapeluszu na głowie, a swoim normalnym w rękę, nieskazitelnie ubrany, siedzi na koniu na biegunach na tle Domu Zdrojowego. Tekst brzmiał:

Była kiedyś silna jazda
Nawet ślad już po niej ginie,
Tylko jeszcze stary gazda
Czasem siądzie przy komisie.

Proszę się nie przyczepiać! Oczywiście prościej byłoby „przy kominie”, ale gdzie prawda historyczna? [...] ja się nie kłócę o każde słowo. Jakby wam było wygodniej, to zmieńcie sobie na „ślad już po niej znika” i „czasem siądzie na konika”.

Wasz Antoni

[...] W r. 1971 spędził wiosnę we Włoszech, nad Lago Maggiore. Stamtąd przysłał mi dwie pocztówki. Na pierwszej, przed ozdobną, secesyjną fasadą pawilonu, stoi jeszcze ozdobniejszy i bardziej secesyjny, wspaniały, biały paw z szeroko rozpostartym ogonem. Z boku, na schodkach pawilonu widać jakieś postaci. Antoni pisze: 'Droga Irenko! Przesyłam ci ostatnie moje zdjęcie na tle naszego hotelu. Mam parę próbnych fotografii, ale raczej z profilu, co mniej podobne i mniej efektowne. Ci panowie na schodach na lewo, to paru pisarzy tutejszych i zagranicznych, którzy przyszli po mój autograf. Cóż za nuda!... Ucałuj ode mnie przyjaciół – nie pamiętam nazwisk, ale paru było dość sympatycznych. Twój A.'

Na drugiej kartce, przysłanej po dwu tygodniach jest kolejka linowa nad Stresa–Mottarone, a po drugiej stronie tekst: ' Tak mieszkam. Efektownie, ale trochę niewygodnie, bo na „dwór” muszę się wychylać, czego, jak wiesz, nie lubię. Wracając będę musiał się przesiąść w Kuluszkach, czego i Tobie życzę więzień z Lago Maggiore [...]"

Twórczość Słonimskiego inicjuje liryka, początkowo stylistycznie dość niejednorodna. Z jednej strony urzeka go cyzelowanie form na wzór francuskich parnasistów: wydany w 1918 r. zbiór *Sonety* uważa za swój właściwy debiut

poetycki. Z drugiej stony – temperamentowi polemicznemu i pasjom społecznym daje ujście w retorycznych poematach typu młodzieńczej *Czarnej wiosny* (1919) i w nich przede wszystkim (choć nie tylko w nich) dochodzi do głosu jego buntownicza natura wiecznego opozycjonisty. Nie tylko, bo i w klasycznych sonetach, takich jak *Credo*, odzywa się ta nuta buntu:

Łotrem jest, kto w młodości znosi kompromisy,
Kogo nęci brzuch pełny lub wypchana kiesa...
Łotrem jest, kto nie marzy, jak ten z Cervantesa,
Aby słońca dosięgnąć złotym ostrzem spisy!

Podobnie jak u innych Skamandrytów, dominantą poezji Słonimskiego nie była nigdy ani walka polityczna, ani dyktat jakiejś określonej ideologii. A jednak zaangażowanie we współczesność dochodziło w niej od czasu do czasu wyraźnie do głosu. Podobnie jak Tuwim reaguje Słonimski pełnym pasji wierszem na śmierć prezydenta Narutowicza, pierwsze wielkie polityczne morderstwo w wolnej Rzeczypospolitej. Wiersz *Do córki pisarza* jest bardzo wymownym hołdem dla Stefana Żeromskiego i stanowi w momencie śmierci autora *Przedwiośnia* wyraźną deklarację ideową. W tymże czasie określa Słonimski dobitnie swój krytyczny stosunek do rosyjskiej rewolucji, pisząc wiersz *Do poetów bolszewików* i polemizując z głośnym *Lewą marsz!* Majakowskiego (który to utwór zresztą sam przełożył na polski) w wierszu *Kontrmarsz*. W niektórych utworach krystalizuje się, dość powszechna po pierwszej wojnie światowej w innych krajach, u nas jednak rzadziej manifestowana, postawa pacyfistyczna Słonimskiego (*Sentymentalizm*, *Dialog o miłości ojczyzny*).

Choć poeci Skamandra nie łączyli się ze sobą nigdy na płaszczyźnie wyraźnie politycznej, to jednak można powiedzieć, że początkowo, w latach dwudziestych, ich wspólne poglądy przeważały nad różnicami. Pokładali nadzieje w umiarkowanej, demokratycznej lewicy, za jej wyraziciela uważając Piłsudskiego nawet wtedy, gdy dokonał już zamachu majowego i kiedy pokazy pierwszych, pisanych przez Skamandrytów *Szopek politycznych* urządzano dla „Dziadka” w Belwederze.

Zróżnicowanie stanowisk przyniosły dopiero takie wydarzenia, jak uwięzienie postów w Brześciu i okres rządów tzw. pułkownikowskich, a więc początek lat trzydziestych. Lechoń, będący już wtedy na placówce dyplomatycznej w Paryżu i Wierzyński, współpracujący z organem sanacji „Gazetą Polską”, pozostali wierni obozowi pomajowemu. Wierzyński wtedy właśnie zaczął opiewać samotność Wodza, którego dalekowzroczonej myśli naród nie rozumie (zbiór *Wolność tragiczna*). Iwaskiewicz skłaniał się ku zagadnieniom metafizycznym w wierszach z tomów *Lato 1932* i *Inne życie*, w prozie podejmował problematykę psychologiczną lub zwracał ku historii. Natomiast w twórczości Tuwima i Słonimskiego wyraźnie zaznacza się niepokój, wywołany rosnącą siłą systemów totalitarnych. U Tuwima przejawia się to w gorzkich nutach liryki ze zbiorów *Biblia*

cygańska i *Treść gorejąca*, w ironicznych *Wierszach o Państwie* oraz – najsilniej – w katastroficznym *Balu w operze*. Słonimski wydaje piękny zbiór refleksyjnych liryków *Okno bez krat* (1935), w którym wiele wierszy świadczy o głębokim przeżywaniu zachodzących w świecie przemian i o wycuciu grozy narastającego totalitaryzmu. Można by tu wymienić takie wiersze, jak *Matko Europo, Niemcom, Pożegnanie Czorsztyna, Chore serce świata, Rozmowa z poetą, Palenie zboża*.

Sprzeciw wobec totalitarnych ideologii, zarówno o zabarwieniu brunatnym jak czerwonym, jeszcze wyraźniej występuje w *Kronikach Tygodniowych*. Będąc dość zmiennym barometrem politycznych nastrojów i odczuć poety, *Kroniki* od początku konsekwentnie odcinają się od systemów totalitarnych obu maści, czego może nie zauważyć czytelnik ich okrojonego przez PRL-owską cenzurę powojennego wyboru. Stopień natężenia polemik Słonimskiego z komunistami można by uznać za swoisty barometr nastrojów tzw. postępowej opinii w owych latach. W roku 1932, w krótkim okresie złagodzenia napięć między Polską a ZSRR, Słonimski odwiedza Moskwę i Leningrad, drukuje relację z tej wyprawy w „Wiadomościach Literackich”, a następnie publikuje zbiór *Moja droga do Rosji*, krytyczny, ale usiłujący także dopatrzeć się cech pozytywnych w tym, co intrygowało wówczas świat jako wielki rewolucyjny eksperyment, którego ponurej podszewki jeszcze nie znano. Te akcenty dobrej woli brzmią jeszcze wyraźniej w kilku powstałych pod wrażeniem tej podróży lirykach (*Rozmowa z komsomołką, Rosjanka, Hamletyzm, Białe noce*).

Jednak w ostatnich latach przed II wojną światową Słonimski nie ma już złudzeń co do oblicza sowieckiego komunizmu. Będą mu to pamiętać rządzący PRL-em po wojnie dogmatyczni komuniści. Z drugiej strony niebezpieczeństwo hitlerowskie jest bardziej bezpośrednie. Poecie coraz trudniej zrównoważyć niepokój humorem, co jeszcze udawało mu się, kiedy pisał i wystawiał groteskową komedię *Rodzina* (1933), wyśmiewając w niej nonsensy rasizmu, lub kiedy szydził z podwójnej miary, jaką stosowano do komunistów, wymieniając dusery z sowieckimi dyplomatami, a równocześnie skazując na wieloletnie wyroki uwiedzionych komunistyczną doktryną robotników z Woli czy żydowskich biedaków z Gęsiej (wiersz *Protokół*). Wojna domowa w Hiszpanii, pierwszy próbny poligon dwóch reżimów totalitarnych, każe zdystansować się i od komunistów z ich bądź naiwną wiarą, bądź obłudą, i od pięknoduchów zatrwożonych perspektywą zniszczenia dzieł wielowiekowej kultury: w jego wierszu *Rozmowa* dewizą poety jest humanitaryzm, obrona każdego ludzkiego życia. Znieważany osobiście przez rodzimych apologetów totalitaryzmu usiłuje na akty nienawiści odpowiadać apelami do serca i rozumu (wiersze takie jak *Odpowiedź na wrogie spojrzenie, Gratis pro Deo, Dwie ojczyzny*). W tej postawie ma jednak coraz dotkliwsze poczucie osamotnienia. Wrogiej teraźniejszości coraz częściej prze-

ciwstawia przeszłość, tradycje, w których wzrastał (*Dawne księżyce, Na śmierć Andrzeja Struga, W Warszawie*).

Czy jest tylko naiwnym marzycielem, jak chcą ówcześni wyznawcy politycznego realizmu? Chyba nie, choć stroni od bezpośredniego zaangażowania w szeregach określonej partii czy ideologii. Pomimo poczucia osamotnienia ma wciąż wielu wiernych czytelników i sympatyków w kołach demokratycznej lewicy i liberalnego centrum. Na wybuch II wojny światowej reaguje przede wszystkim spontanicznymi wierszami, wyrażającymi nastrój chwili. Jego słynny *Alarm* trafia natychmiast do podziemnej prasy w okupowanej Polsce. Słonimski wie, że pozostanie w kraju to dla niego niemal pewna śmierć. W obliczu wrzesniowej klęski podejmuje decyzję udania się na emigrację. Po krótkim okresie paryskim, upamiętnionym serią pięknych, nostalgicznych liryków (*Do Francji prawdziwej, W Paryżu, Piosenka, Drzewa*) wybiera na miejsce wygnańczego pobytu walczącą Anglię, a nie odległą Amerykę, gdzie lądują jego rówieśnicy i przyjaciele – Tuwim, Wittlin, Wierzyński, Lechoń. Decyduje o tym zapewne ukształtowana w ciągu lat postawa anglofila, który w wielkiej brytyjskiej kulturze i tradycji szukał oparcia dla ideałów humanizmu, tolerancji, poszanowania indywidualnej odrębności człowieka. Uwielbiał Szekspira, Dickensowski *Klub Pickwicka* był jego stałą lekturą, lubił racjonalistyczne utopie H.G. Wellsa i filozoficzny sceptycyzm Bertranda Russella. Po zawodzie, jaki przyniosła w czasie II wojny światowej bezsilność Francji, chciał szukać oparcia w rozwadze i uporze Brytyjczyków, i nie zawiódł się. Znalazłszy się w bombardowanym Londynie nie przestał być czynnym świadkiem i uczestnikiem zmagania o wolność własnego kraju.

Równocześnie jednak stał się też świadkiem i uczestnikiem emigracyjnych sporów i starcia dwu odłamów emigracyjnej opinii, kiedy alianci zaprzepaścili sprawę polską w Teheranie i Jałcie. Wybór między pozostaniem na emigracji lub uznaniem Polski niesuwerennej miał wszelkie cechy wyboru tragicznego i na wiele lat poróżnił przyjacielskie dotąd, pomimo odmiennych poglądów, grono poetów Skamandra. By zrozumieć ówczesny wybór Słonimskiego trzeba mieć przed oczyma wszystkie jego przeżycia z drugiej połowy lat międzywojennych, upokorzenia, na jakie narażały poetę ataki antysemitów i krzykliwych apologetów „Polski mocarstwowej”. Nie bez znaczenia był tu również wrodzony, może niekiedy nawet nieco naiwny, optymizm poety, który chciał, aby nowa Polska była krajem sprawiedliwości społecznej i wyrównania krzywd. Takie jego wiersze z emigracyjnego okresu jak *Sąd czy Ten jest z ojczyzny mojej* określają dość plastycznie oblicze utopii, w którą pragnął wierzyć. Nie był, co prawda, tak naiwnie zapatrzony w „nowy naród stu narodów” jak Tuwim, który swą miłość do rosyjskiej poezji rozbudował w owym czasie w najzupełniej fantastyczną wizję płynących do nas ze Wschodu dobrodziejstw nowego ustroju. Nie mógł przecież nie mieć przed oczyma stalinowskich zbrodni, o których wiedział co najmniej

od czasu procesów moskiewskich. Nie mógł nie pamiętać swoich polemik i własnego trzeźwego krytycyzmu, z jakim patrzył w latach międzywojennych na sowiecką rzeczywistość. Chciał jednak wrócić do kraju, nie miał poczucia więzi ze środowiskiem londyńskiej emigracji, nie tylko antykomunistycznej, ale w większej części nie chcącej też widzieć krzywd i błędów, jakie były udziałem obozu rządzącego Polską przedwrześniową. Chciał wierzyć, że Polacy, decydujący się na współpracę z ZSRR po wojnie, potrafią ocalić tyle niezależności, ile się da w narzuconych warunkach, że myślą o szansach nowej Polski tak, jak on: pragmatycznie i krytycznie. „Nowa Polska” – taki właśnie tytuł nosił miesięcznik, który Słonimski redagował w Londynie w latach 1942–1946, tzn. od momentu rozejścia się dwóch odłamów emigracji: nieprzejednanych i akceptujących program Polski Ludowej pod protektoratem ZSRR. Zerwał z dawnymi przyjaciółmi: Lechoniem, Wierzyńskim, i – co zapewne jeszcze bardziej w owym momencie zaskakujące – z Mieczysławem Grydzewskim, którego Londyńskie „Wiadomości” skupiły wokół siebie obóz nieprzejednanych. Z „Nową Polską” Słonimskiego współpracowali natomiast m.in. Tuwim, Broniewski, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, Ksawery Pruszyński, Karol Estreicher, Józef Wittlin, Stefan Thémerson, Stanisław Baliński.

Po wojnie Słonimski nie od razu wrócił do kraju na stałe. W roku 1946 przyjął propozycję wybitnego angielskiego biologa Juliana Huxleya (brata pisarza Aldousa Huxleya) i objął funkcję szefa sekcji literatury i sztuki tworzącej się właśnie UNESCO. Rząd PRL poparł jego kandydaturę na to stanowisko, gdyż było to wyróżnienie dla Polski. Kiedy w roku 1948 Słonimski zrezygnował z pracy w UNESCO, rząd warszawski zaproponował mu objęcie funkcji dyrektora tworzącego się w Londynie Instytutu Kultury Polskiej. W rezultacie poeta powrócił do kraju na stałe dopiero po czasowym zlikwidowaniu tej placówki – w czerwcu 1951 r.

Dziś orientujemy się, że był to w dziejach PRL moment najgorszy, najbardziej ponury, okres największego nasilenia się zimnej wojny pomiędzy blokiem sowieckim a światem zachodnim. Wracając do Polski Słonimski nieomal rozminął się w drodze z Czesławem Miłoszem, który właśnie wtedy, przerażony perspektywą stalinowskiego zniewolenia umysłów, wybrał wolność. W tymże czasie Tadeusz Borowski popełnił samobójstwo, a polski aparat bezpieczeństwa sterowany z Moskwy, zapełniał więzienia ofiarami chorobliwych podejrzeń i cynicznych werdyktów stalinowskich dygnitarzy i agentów. Równocześnie w życiu kulturalnym PRL tłumiono resztki powojennych swobód.

Jak dalece wracający do kraju pisarz się w tym orientował? Myślę, że orientował się jeszcze mniej niż jego krajowi koledzy, często też żyjący pod szklanym kloszem, w sztucznej izolacji od większości społeczeństwa, wytworzonej przez zapewnienie im statusu wyróżnianych i protegowanych pracowników pionu kultury, przeznaczonych do roli „inżynierów dusz ludzkich”. Coś może i wiedzieli,

ale nie na pewno i bez szczegółów. Lewica zachodnioeuropejska żyła w izolacji jeszcze większej, jaką tworzyła aura nieufności wobec wszelkich przejawów antykomunizmu. Rewelacje o stalinowskich zbrodniach, o łagrach w powojennym ZSRR traktowano jako wymysł antysowieckiej propagandy, a pamięć o zbrodniach Stalina sprzed wojny zdążyły przyćmić hitlerowskie bestialstwa.

Można więc przyjąć jako pewnik dobrą wiarę Słonimskiego, kiedy powróciwszy do Polski opublikował kilka tekstów, które później uznał za przejaw własnej słabości i małoduszności. Trzeba tu wspomnieć dziennikarską wypowiedź w sprawie ucieczki Miłosza i nie przedrukowany w żadnym zbiorze wiersz do prezydenta Bieruta. Produktem ówczesnej postawy jest też ładny skądinąd, ale nieuzasadniony, samokrytyczny wiersz *Do czytelnika*, otwierający pierwszy, wydany po wojnie wybór liryków poety.

Jednakże okres afirmacji rzeczywistości PRL-owskiej trwa u Słonimskiego bardzo krótko, z dwu co najmniej powodów. Po pierwsze – już od momentu śmierci Stalina (marzec 1953) pękać zaczyna pancierz strachu i cementowanej przezeń izolacji informacyjnej tak w ZSRR jak w krajach satelickich. Po drugie – wystarczała nawet najbardziej powierzchowna znajomość psychiki Słonimskiego, by przewidzieć, że nie utrzyma się on długo w roli apologety systemu, w którym sztuczne ideologiczne konstrukcje tak bardzo kontrastowały z obrazem rzeczywistości i tak wyraźnie przeczyły poczuciu zdrowego rozsądku.

Toteż Słonimski od samego początku okresu tzw. odwilży zaczyna manifestować swój krytycyzm wobec sytuacji, w jakiej znalazła się kultura w Polsce. Wspomnieć tu warto jego wypowiedzi w sprawie podręcznika literatury dla szkół średnich, który miał być pierwszą próbą ujęcia przedmiotu w duchu obowiązującej wówczas doktryny socrealizmu. Słonimski wykpił ów podręcznik, co uświadomiło władzom oświatowym konieczność szybkiego wycofania książki z obiegu. Krytykę socjalizmu, a wkrótce potem całego stalinowskiego systemu administrowania kulturą, podejmuje też Słonimski w latach 1955–1956 w wypowiedziach na zebraniach Rady Kultury przy ówczesnym Ministerstwie Kultury i Sztuki. Są to wypowiedzi pełne pasji i – jak dawniej – ciętego dowcipu. Jest to już tygiel, w którym buzuje płomień duchowych przemian okresu polskiego Października 1956. Na Zjeździe Związku Literatów Polskich, zaraz po Październiku, kiedy wyrażane są już pełnym głosem postulaty zmiany oblicza polityki kulturalnej w Polsce, Słonimski wybrany zostaje prezesem tej pisarskiej organizacji na miejsce Leona Kruczkowskiego. W czasie swej trzyletniej kadencji prezesa ZLP (1956–1959) Słonimski konsekwentnie usiłuje przeciwstawić się dążeniom Gomułki i ówczesnego kierownictwa partii, stawiającej sobie za cel ograniczenie osiągniętych w Październiku 1956 pisarskich swobód i przywrócenie kontroli partii nad życiem literackim. Widząc, że wysiłki jego okazują się daremne, Słonimski rezygnuje w 1959 roku z kandydowania w kolejnych wyborach na Prezesa ZLP, ustępując miejsca bardziej ugodowemu Jarosławowi

Iwaszkiewiczowi. W ciągu tych trzech lat swojej kadencji staje się stopniowo jednym z duchowych przywódców opozycji w środowisku pisarskim. W roku 1964 jest – wspólnie z Janem Józefem Lipskim – inicjatorem głośnego *Listu 34* podpisanego przez tę właśnie liczbę pisarzy i uczonych, a skierowanego do premiera Cyrankiewicza. Władze, szykanując sygnatariuszy listu i grożąc im represjami wyczuwają trafnie, że stanowi on pierwszy jawny i wyraźny manifest postawy opozycyjnej w środowisku pisarskim.

Twórczość Słonimskiego staje się przy tym już od chwili jego ustąpienia z funkcji prezesa ZLP przedmiotem czujnej obserwacji cenzury. Już w roku 1959 dwa tomy wyboru jego przedwojennych recenzji teatralnych *Gwałt na Melpomienie* zostają wycofane z obiegu i oddane na przemiał, gdyż w recenzji z *Kniazia Piatomkina* Micińskiego Słonimski przyrównał rewolucję październikową do „pijanego statku”, który „przez ocean krwi płynął w mroczną noc dziejów”, a w recenzji z jednej ze sztuk G. B. Shawa negował istnienie dyktatury faszystowskiej w Polsce przedwrześniowej.

Kiedy po roku 1968 Związek Literatów na Nadzwyczajnym Walnym Zebraniu podjął protestacyjną rezolucję przeciw zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego spektaklu Mickiewiczowskich *Dziadów*, Słonimski, przemawiający na tym zebraniu, znalazł się w gronie pisarzy, których imiennie zaatakował Gomułka w swym głośnym przemówieniu 19 marca 1968 roku. W okresie tym Słonimski, źle notowany w prasie reżimowej – znajduje azyl i zarazem trybunę w katolickim „Tygodniku Powszechnym”. Cykl drukowanych tam jego felietonów złożył się na zbiór pt. *Obecność* (1973). Felietony późniejsze ukazały się dopiero w pięć lat po śmierci pisarza w zbiorze *Ciekawość* (1981).

Wśród utworów poetyckich i wydanych przez Słonimskiego w ostatnich latach życia na przypomnienie zasługują też dwa liryczno-satyryczne opowiadania zamieszczone w tomie *Jawa i mrzonka* (1973), zabawny i rzewny *Alfabet wspomnień* (1975) oraz pojawiające się co jakiś czas nowe wybory wierszy (ostatni za życia *138 wierszy*, 1973), w których przez oka sieci cenzury udaje się autorowi stopniowo, choć zazwyczaj z pewnym opóźnieniem, przemycić utwory o aluzyjnej wymowie politycznej, jak np. poemat *Sąd na Don Kichotem* (1963–1965), którego koda stanowi rodzaj lirycznego zapisu testamentowego poety:

Primo

Łatwo się mnie nie pozbędziecie,
Melodia, którą się pamięta,
Piosenka, której refren wraca,
Dowcip szyderyczy, żart ulicy,
Rym celny, niespodziana pointa
To moi wierni sojusznicy.
W starej powieści czy dramacie
Mój gest i głos mój rozpoznacie.
Pocziwy truizm, banał z nagła
Dreszczem przebiegnie wam po grzbiecie

Lub szlochem skoczy wam do gardła.
Łatwo się mnie nie pozbędziecie.

Secundo

Miał to być cały tom in folio,
A wyszło tylko parę stronic,
Więc włóczę się po mglistym parku
Pod rękę z własną melancholią.
O co chodziło? Prawie o nic.
Aby zbyt łatwo nie zgiąć karku.
Więc włóczę się po mglistym, parku
Pod rękę z własną melancholią.

Tertio

Że byłem kiedyś małoduszny,
Że kiedyś zbrakło mi odwagi
I że milczałem wbrew sumieniu,
Umierający chcę być nagi.
Chcę zrzucić z piersi ciężar duszny
I raczej spocząć w zapomnieniu,
W przydrożnym prochu i popiele,
Niż na wysokim katafalku
W waszych fałszywych bóstw kościele.

Obok związania się z „Tygodnikiem Powszechnym” – drugim faktem społecznym, który określa rolę Słonimskiego w ostatnich latach życia, jest uznanie jego duchowego autorytetu przez opozycyjny krąg młodzieży, której stanowisko zaczyna się krystalizować w latach sześćdziesiątych, by w następnym dziesięcioleciu nabrać charakteru opiniotwórczej siły politycznej. Podobnie jak przy formułowaniu *Listu 34*, najbliższym współpracownikiem pisarza był młodszy od niego o lat 30 Jan Józef Lipski, tak obecnie Słonimski angażuje jako swego sekretarza zwolnionego z więzienia studenta historii Adama Michnika, który stopniowo staje się łącznikiem między poetą a młodszym pokoleniem opozycyjnych działaczy. Śmierć poety w następstwie wypadku samochodowego w dniu 4 lipca 1976 roku nastąpiła na krótko przed wydarzeniami, które przyczyniły się do zmiany politycznego oblicza Polski. Działalność Komitetu Obrony Robotników (KOR) i wydawnictw drugoobiegowych miałyby w Słonimskim niewątpliwie swego patrona, orędownika i stronnika.

Na rok przed śmiercią utracił poeta żonę, Janinę z Konarskich (1902–1975), wybitną graficzkę, którą poślubił w pierwszej połowie lat trzydziestych. Byli małżeństwem bardzo szczęśliwym i doskonale dobranym. Na miejsce wiecznego spoczynku żony wybrał poeta cmentarz w podwarszawskich Laskach, przy zakładzie ociemniałych dzieci. W rok później zlecił się tam pochować. Ten niepozbawiony ideowej wymowy gest, któremu towarzyszył legat testamentowy na rzecz Lasek, przekreślił niejako możliwość sporu o spuściznę duchową poety, w której stronami mogliby być sympatycy poety z laickiej lewicy i twórcy legend o przedśmiertnych nawróceniach. Niezależnie od fluktuacji swych politycznych

wyborów, pozostał Słonimski bowiem, jak o tym świadczy cała jego twórczość, jednym z ostatnich spadkobierców i swoistym uosobieniem syntezy romantycznego marzycielstwa, podatnego na uleganie społecznym utopiom i sceptycznego racjonalizmu o rodowodzie XIX-wiecznym, choć karmiącego się niejedną z późniejszych idei naszego stulecia. Nie wierzył w wyższy sens dziejów, ale pozostał, jak to określił w jednym ze swych późnych wierszy, „niepogodzony z bezsenssem istnienia”. Myślę, że do końca trzymał się wiary w istnienia tego sensu moralnego.

Pozostawił po sobie pamięć człowieka prawego o dużej cywilnej odwadze. Niechętni wypominali mu nieliczne chwile słabości i niekonsekwencji, usiłując zminimalizować znaczenie jego politycznych gestów, a rangę artystyczną jego liryki obniżyć, akcentując konserwatyzm poety i przywiązanie do tradycyjnych form wyrazu. Nie wydaje się jednak, by w perspektywie czasu animozje te miały większe znaczenie. Dla paru pokoleń pozostał ideowym kontynuatorem tej linii myśli i marzeń artystów, którą wyznaczali przed nim Prus i Żeromski, a po trosze i Conrad. Był może jednym z ostatnich poetów, którzy mogli jako swój program sformułować zdanie z liryku *W obronie wiersza*:

Wiersz, kiedy nie jest pokarmem dla marzeń,
Gdy nie jest skargą, buntem – nic nie znaczy.

grudzień 1994